

Marian Kowalski

A high-contrast silhouette of a person leaning over a table, set against a bright, window-lit background. The person's head is bowed, and their arms are resting on the table. The lighting creates a dramatic, somber mood.

Rozstania

Marian Kowalski

ROZSTANIA

© Copyright by Marian Kowalski & e-bookowo

Projekt okładki: e-bookowo

Zdjęcie na okładce: sxc.hu

ISBN 978-83-7859-029-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny

Twójakultura.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2012

*Dominice Natalii
z wdzięcznością za
umożliwienie wejścia w świat
Jej rówieśników*

Postaci w tej powieści są fikcyjne, ich podobieństwo do osób rzeczywistych – przypadkowe; miejsca wydarzeń służą przede wszystkim celom literackim, natomiast nazwisk osób z życia publicznego nie wykorzystano w złych intencjach.

Część pierwsza

Kiedy w na początku drugiego semestru w ostatniej klasie gimnazjum nauczycielka języka ojczystego, Ewa Wiśniewska, przypomniała o zbliżającym się terminie wyboru tematu ostatniej prezentacji z literatury, Dorota stanęła przed problemem: odkurzać literaturę czy sięgnąć do tej świeższej, jeszcze pachnącej drukarską farbą? Otworzyła listę propozycji w Internecie. Zza pleców przyglądała się jej Izabela Nadolska, najaktywniejsza z matek w gimnazjum.

– Starocie zostaw tym, co chcą iść na polonistykę – rozstrzygnęła problem najaktywniejsza z matek, ustawicznie w dzień i w nocy myśląca o przyszłości dziecka („Córeczko, nie wiem, czy twoje zainteresowania są właściwe, czy gwarantują ci przyszłość, ja na twoim miejscu wybiłabym sobie z głowy studia polonistyczne, a jeżeli już tak bardzo upierasz się przy tym wyborze, to radzę ci: jako gimnazjalistka zajmij się tematami nie obrosniętymi badaniami naukowymi, komentarzami, po co tyle trudu na ich poznanie?”).

Najbardziej życzliwa z matek próbowała ożywić jedną z komórek mózgu i przypomnieć sobie, co ostatnio czytała, czym mogłaby zainteresować córkę? Nie przychodziło jej to łatwo. Odkąd na ekrany telewizyjne wdarły się seriale amerykańskie, argentyńskie, brazylijskie, no i polskie, to niewiele zostawało jej dnia czy nocy na czytanie, a przecież od czasu do czasu trzeba też sięgnąć po kolorowe czasopisma, by nie żyć w próżni i wiedzieć, kto z kim z tego czy tamtego serialu, jak długo, dlaczego i jak ta znajomość aktorów z tego czy owego serialu się kończy. Naczytała się wcześniej, w latach dziewczęcych, w

czasie studiów, ale z tych pozycji nic nie nadaje się do szkolnej pracy Doroty. Z kolei proponowane dzisiaj przez krytyków książki: *Mdłości* Sartre'a, *Gra w klasy* Cortazara, *Podróż do kresu nocy* Céline'a, *Kamień na kamieniu* Myśliwskiego – dla niej te książki były obce.

Najbardziej praktyczna z matek odsunęła z półki pierwszy rząd książek z poradami kulinarnymi, wyłuskała kilka z rzędu drugiego, zwykle ukrytego przed oczyma bywalców w pokoju „codziennym” z telewizorem, rozłożystą kanapą, z głębokimi fotelami, z możliwością podglądania tego, co dzieje się nie tylko na ekranie, ale i w kuchni. Odkurzyła i podała tomy Dorocie. Ich stan mógł jej sugerować pochodzenie z epoki nie tak odległej od czasów Gutenberga. Myliła się, to była literatura współczesna, autorzy książek kupowanych przez najbardziej światłą z matek.

– Przy tej długo zaśmiewałam się do rozpuku! – przypominała sobie, stukając lekko wskazującym paluszkiem w strzęp okładki ledwo trzymającej kilka arkusików wypełnionych drukiem dla czytelników o skłonnościach okulistyczno-masochistycznych. – Spójrz, nawet jest na niej dedykacja dla ciebie. Wyobraź sobie: dla ciebie! Miałaś zaledwie kilka miesięcy, ot bobasek w wózek. Tyci, tyci – odmierzyła wskazującymi palcami kilka centymetrów. – Pogoda była piękna, wybrałam się na długi spacer z tobą. Trafiłam na kiermasz Dni Książki, Prasy i Oświaty. Ano były kiedyś takie, były! Podeszłam do stolika, przed którym ustawiała się spora kolejka czytelników czekających na autograf młodej, kruczowłosej pisarki. Kupiłam jej książkę i poprosiłam o autograf dla ciebie. Wyszła zza stolika, pochyliła się nad wózkiem, chyba dotknęła twej rączki – matka znów wskazującymi palcami odmierzyła jej wielkość – i coś nad tobą wyszeptwała. Myślałam, że to pisarskie zakłęcie. Wtedy nawet pomyślałam, że byłoby dobrze, gdybyś i ty kiedyś siedziała za podobnym stolikiem jak Daria Czopik, do

której stałaby długa kolejka czekających na autograf autorki rozchwytywanej książki. Ale to było dawno, czasy się zmieniły, nie ma u nas nad Dziwną kiermaszów książkowych. Kto w kieracie obowiązków znajdzie czas na czytanie książek? – Westchnęła ciężko. – Mam nadzieję, że wtedy pisarka ta nie wypowiedziała nad tobą w wózeku jakiegoś złego zaklęcia... Poszukasz może dla siebie ciekawszego zajęcia, a pisanie książek niech będzie dla ciebie czymś dodatkowym.

– Autorka chyba już nie żyje – powiedziała Dorota, odkładając rozpadającą się niebieską książeczkę z chłopcem dosiadającym delfina na okładce.

Wywołała melancholijne zamyślenie u najbardziej umiejących się zatroskać kobiet.

– Nie wiem, nie śledzę prasy, nie czytam nekrologów. Ale łatwo sprawdzić, czy żyje? Przecież masz Internet – zauważyła najbystrzejsza z matek.

Autorka żyła.

Daria Czopik nie umarła jeszcze!

W pierwszej telefonicznej rozmowie podważała sens zajmowania się jej osobą. Kiedy Dorota wspomniała o czytelniczce proszącej na kiermaszu nad Dziwną o dedykację dla córki, ożywiła się, zaproponowała telefoniczny kontakt w następnym tygodniu, by mogła przemyśleć propozycję udzielania wywiadu, a przede wszystkim aby miała czas na wygrzebanie z szuflad niezbędnych materiałów.

– Mój Boże – rozległo się westchnienie na drugim końcu drutu. – Kiedy to było, jak wiele się zmieniło od tamtych czasów, gdy rozdawałam autografy! Czytałaś tę książkę, pierwszą książkę kupioną przez mamę dla ciebie? – nie mogła uwierzyć.

Dziewczynka nie potwierdziła, nie zaprzeczyła.

Nie mniej lody zostały przełamane i kilka dni później Dorota usiadła przed szczupłą, siwowłosą gospodynią gabinetu z

szafkami, półkami pełnymi książek raczej kiepsko wyglądającymi, bo przeważały oprawy tandetne, z odpadającymi grzbietami.

Nawet jak na kogoś, kogo książki w bibliotece najpraktyczniejszej z matek stały na półce za książkami kulinarnymi w drugim rzędzie obok *Trenów* Jana Kochanowskiego i *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza, prezentowała się całkiem nieźle, a po wielkości dużego kubka z logo Radia Szczecin na białym żagielku, kubka wypełnionego po brzegi prawdziwą kawą, można było wnioskować, że minione czasy nie nadzarpnęły jej serca bijącego spokojnie, miarowo.

Dorota nie zauważyła na pierwszym planie książek autorki swej prezentacji.

– Niechętnie wracam do przeszłości – wyjaśniła Daria Czopik, gdy dziewczynka spytała, dlaczego ukrywa swój dorobek.

– Mogłabym przypuszczać, że nie docenia pani swego twórczego dorobku, albo woli zapomnieć o swej działalności w latach komuny.

Pisarka popatrzyła na nią z wyrzutem przygasających, starych oczu zmęczonych śledzeniem iluś tysięcy znaków w maszynopisach, utrudzonych korektami, lekturą książek.

– Niczego nie chcę zapominać. Nawet tego, w jakim żyłam okresie, kiedy do czegoś dochodziłam. To raczej pragnienie niektórych wydawców, którzy nie powracają do listy swych dawnych autorów. Bo tak bezpieczniej, wygodniej.

– Niektórych? – podchwyciła problem Dorota.

– Większość jest z kapitałem zagranicznym, z wydawniczymi zobowiązaniami wobec autorów z krajów, z jakich pochodzą pieniądze – wyjaśniała cierpliwie pisarka. – A prywatne oficyny, jeżeli powstają, wciąż są jeszcze słabe, za słabe, by poszerzać ofertę wydawniczą. Trudno mieć do ich założycieli żal. I nie widzę powodu do dąsania się, tupania, obrażania na

to wszystko, co zaszło w ojczyźnie, co ją odmieniło. Choć przecież takie emocje z mej strony mogłyby być zrozumiałe. Górnicy, stoczniowcy po likwidacji ich zakładów pracy dostali niezłe odprawy, a pisarze po upadku wydawnictw? Nic.

– Wspomniała pani, że dla niektórych wydawców jest bezpieczniej nie powracać do współpracy ze swymi dawnymi autorami – ponownie przypomniała się z pytaniem, stawiając na nie, bo miało być pierwszym haczykiem na pisarkę.

– W naszym kraju zbyt wiele rzeczy łączyło się i nadal idzie w parze z polityką. Partyjni przywódcy decydowali o wartości literatury. Władysław Gomułka recenzował teatralną inscenizację *Dziadów* Adama Mickiewicza, w ministerstwie kultury czy oświaty zapadały ostateczne wyroki na Tyrmanda, Hłaskę, Andrzejewskiego. Przecież jeszcze nie tak dawno minister edukacji, lider Ligi Polskich Rodzin, rzekomo w trosce o moralność młodego pokolenia usuwał z lektur szkolnych Gombrowicza, choć nie zgłaszał zastrzeżeń do jego dzieł, ale do orientacji seksualnej! Dla naszych decydentów zawsze ważniejsze były biografie twórców niż ich dzieła. A teraz – w dekadzie straszących teczkami lustratorów... – Westchnęła, machnęła ręką. – Wzmogła się czujność przesadnie przewrażliwionych edytorów.

Dorota położyła na stół przed pisarką opasły tom z logo Polskiego Radia Szczecin oraz z pieczętką Instytutu Pamięci Narodowej. Ponad pięćset stron w pięknej twardej oprawie, z dołączoną płytą CD. Wielkie dzieło.

– Przygotowałeś się do rozmowy ze mną – stwierdziła z sarkazmem pisarka. – Dawniej wywiady rozpoczynały się od wspomnień z lat dzieciństwa, z okresu nadziei i rozczarowań wieku dojrzwania, od pierwszych kroków kariery zawodowej. Dziennikarze najpierw szli do biblioteki, pożyczali książki, szperali w recenzjach. Dziś swą wędrówkę z pisarzem zaczynają od wizyty w Instytucie Pamięci Narodowej. I wielu to

wystarcza, na tym poprzestają. – Wypiła łyk kawy, roześmiała się. – Przeczytaj kilka regulaminów konkursów literackich. Organizatorzy koniecznie domagają się podania od uczestnika konkursu daty urodzenia. Zabawne, co? Stosuje się odsiew naturalny! Kto m ó g ł b y, z uwagi na wiek, być agentem służb specjalnych, zostaje bez procedur sprawdzania odrzucany.

– Zna pani tę książkę wydaną przez Instytut Pamięci Narodowej? – Dorota nie pozwoliła zbić się z pantafyku.

Pisarka westchnęła ciężko.

– Kilka miesięcy temu zadzwoniła do mnie koleżanka z redakcji Polskiego Radia, Halina Lizińczyk, która po mnie przejęła funkcję kierowniczą nad zespołem. Spytała, czy byłam już w IPN? Kiedy usłyszała, że nie i nie mam zamiaru tam chodzić, poinformowała mnie, że nasz wspólny znajomy, Jacek Sawaszkiewicz, autor popularnych humoresek i literatury *science fiction*, był zarejestrowany przez Wydział III Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Szczecinie jako tajny współpracownik. Wiadomość ta zmartwiła mnie. Co kilka dni dzwonił do mnie, albo ja do niego i prowadziliśmy długie rozmowy o literaturze fantastyczno–naukowej i jej przyszłości. Ja raczej opowiadałam się za powieścią realistyczną, za powieścią polityczną, a on nakłaniał do ucieczki od rzeczywistości w świat fantazji, do wędrówki po świecie baśni. Znał moje pierwsze książki, podkreślał, p i e r w s z e, które raczej zapowiadały autorkę utworów *science fiction*, autorkę książek wysokonakładowych, a nie literatkę czepiającą się współczesnych problemów, więc w pewnym stopniu był upoważniony do takiego myślenia o mnie.

– Poszła pani w końcu do Instytutu Pamięci Narodowej? – niecierpliwiła się Dorota.

– Po co?

– By poznać prawdę o sobie.

– Prawdę? Przecież wiem, kim jestem!

– Ale nie wie pani, co kolega przekazał o pani funkcjonariuszowi III Wydziału Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

– A co mógł? Że nie miałam ochoty wymyślać fabulek z kosmitami, robotami, cyborgami? Jako już osoba dojrzała pozostałam wierna sobie i pisałam o tym, co mnie otaczało, co pragnęłam swym działaniem zmienić.

Dorota powróciła do opasłego tomu wydanego przez IPN.

– Miała pani donosiciele w najbliższym otoczeniu, z którymi niekoniecznie musiała rozmawiać o literaturze.

– Kierowałam redakcją literacką, tych kilku wymienionych w książce agentów niechętnie kontaktowało się ze mną, bo nie mieli mi nic do zaproponowania na antenę, może poza jednym dziennikarzem Jerzym Mrukiem, zdolnym i miłym człowiekiem, z którego usług nieraz korzystałam.

– Z usług?

– Potrafił robić dobre wstawki do artystycznych magazynów z motywami historycznymi regionu nadmorskiego. Nie umiałabym o nim powiedzieć złego słowa. Tym bardziej że nie żyje, zginął w wypadku samochodowym.

– A on o pani?

– Jak się zdążyłaś zorientować, nie ma mnie na liście współpracowników ze służbami III Wydziału WUSW. Nigdy też nie byłam w żadnej partii, nad czym ubolewał I sekretarz KW, doprowadzając mnie w końcu do zrzeczenia się funkcji kierowniczej oraz opuszczenia Polskiego Radia. Wciąż bez partyjnej legitymacji.

– Może zatem powinna pani odwiedzić IPN i zażądać oświadczenia, że należy do poszkodowanych przez komunę?

– Ja? Nie. Jestem ze środka, to znaczy nie z bieli i nie z czerni, a z szarości tamtych czasów, które nie tyle podsuwały mi okazję do wykazywania się bohaterstwem, co sposobność do przeżywania zwykłej ludzkiej skłonności do przygody.

I po chwili dodała z nieukrywanym zmęczeniem:

– Nie muszę iść do IPN, by wiedzieć, że byłam ofiarą komuny. Tak, bardzo skrzywdzona jak większość obywateli w mojej ojczyźnie. I należę do tych, którzy nigdy nie zapomną, komu należy się zła pamięć o tych za to, którzy nam zgotowali taki los. Szkoda, że tak mało twórców podejmuje ten temat. Najnowsza historia naszego kraju zasługuje na większe zainteresowanie pisarzy.

– Nie każdemu zdjęto ze sceny sztukę teatralną, bo mogła rzekomo zaszkodzić ustrojowi.

– To było dla mnie wielkie przeżycie. Byłam młodą, próbującą sił w piórze; uczyłam w szkole. Na premierze nieoczekiwanie zjawiała się klasa prowadzona przeze mnie, a także koledzy, koleżanki z grona pedagogicznego. Po zapadnięciu kurtyny owacje trwały długo. Myślałam, że odniosłam sukces. Dopiero w gabinecie dyrektora teatru dowiedziałam się o szkodliwości swej sztuki i decyzji funkcjonariuszy partyjnych. Sztukę wystawiano jeszcze kilka razy wyłącznie dla działaczy partyjnych, by pokazać, jaką szkodę może przynieść socjalistycznemu społeczeństwu.

– Jaką?

– Trudno mi określić rozmiary ewentualnych szkód. Aktor grający główną rolę był bardzo, ale to bardzo podobny do Pierwszego Sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzysza Edwarda Gierka. Nawet mówił jak on, zachowywał się jak on, wygłaszał podobne frazesy jak on. No więc musiał zniknąć ze sceny, a młodego reżysera chyba w ramach reedukacji wysłano na Kubę.

– A pani poczuła się pokonana przez cenzurę, niesprawiedliwie potraktowana.

– Nic z tych rzeczy. W tym samym dniu redaktorka ogólnopolskiego czasopisma teatralnego zaproponowała mi współpracę, dyrektor mej szkoły zorganizował piękne autorskie

spotkanie, regionalne radio gotowe było nagrywać moje słuchowiska, zainteresowały się mną też inne instytucje kulturalne w mieście. Takie były paradoksy w tamtych czasach.

– A jednak kilka lat później znów zdjęto pani sztukę ze sceny.

– Nie potrafię się do tamtego wydarzenia odnieść jednoznacznie. Na prapremierze obok cenzorki zasiadł jej mąż, sekretarz Towarzystwa Przyjaźni Polsko–Radzieckiej. Znałam go z czasów studenckich. Uczestniczyliśmy w podobnych imprezach, dyskusjach. Wydawało się mi, że mamy zbliżone poglądy polityczne. Byłam więc mocno zaskoczona, gdy to on, a nie jego żona, zaatakowała mnie za antyradziecką wymowę sztuki. Nie jestem pewna, czy miał rację, bo popularny w kraju reżyser działający w stowarzyszeniu, których członkowie chlubili się noszeniem w klapach marynarek oznak dwóch grunwaldzkich mieczy, dopatrzył się w niej innej prawdy historycznej i podczas wielogodzinnej rozmowy zachęcał do zajęcia się tematem syjonizmu.

– Podjęła pani z nim tę współpracę?

– W pierwszym roku mego belfrowania dostałam klasę, w której większość uczniów, zgodnie ze zwyczajami swych rodziców i przodków, nie przychodziła w soboty do szkoły. Z niektórymi do dziś przyjaźnię się i wspominamy nieraz kłopotliwe sytuacje na przykład podczas omawiania wątku żydowskiego w *Lalce* Bolesława Prusa. Z niektórymi, bo niewielu z nich pozostało w kraju... Nie zawsze to bywają sympatyczne kontakty. Ale darujmy sobie ten temat.

– Przeczytałam nagrodzone w konkursie *Zaproszenie na karpia*.

– Niedługie opowiadanie – zaśmiała się pisarka.

– Przecież to była satyra na gospodarcze wizyty Edwarda Gierka w powiatach, w wsiach, w fabrykach! I „Życie Literackie” opublikowało je?

– Paradoks tamtych czasów.

– Szło nowe.

– Nie tak bym to ujmowała. W życiu często natrafiałam na ludzi, o których wolałabym w ogóle się nie wypowiadać, tak złożony wydaje się ich portret. W Polskim Radiu przez kilka lat moim przełożonym był kilkuletni były funkcjonariusz Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nie pamiętam, by zdjął z anteny jakiś mój materiał, wyręczał go w tym sekretarz rozgłośni, były kontroler Urzędu Celnego, świętny autor komedijek, wielu słuchowisk, opowiadań.

– Bez słowa żalu do niego za interwencje w teksty? – spytała Dorota, nie kryjąc zdziwienia.

– Ostatnie informacje o nim pochodzące z IPN wielu zaskakiwały. Uznano go za człowieka krzywdzonego przez służby specjalne. Przed tą upowszechnioną wiadomością pisałam szczerze i z głębokim przekonaniem, że gdyby dożył obecnych czasów – na pewno zostałby autorem scenariusza najdłuższego serialu TV, tekściarzem piosenek, satyrycznych tekstów kabaretowych.

– Hm – Dorota chrząknięciem wypełniła ciszę.

– Nie chciałabym sądzić kogokolwiek z tamtych lat – wyznała cicho pisarka. – Nawet tych cenzorów siedzących kilka pięter niżej w wieżowcu i podejmujących ostateczne decyzje o każdej audycji wchodzącej na antenę. W tej grupie był historyk z wykształcenia, bardzo mądrze interpretujący wydarzenia, świadomy, czym była dla Polaków Jałta, opuszczenie nas przez Anglików, Amerykanów. I może dlatego był bardzo czujny na wszelkie aluzje, dygresje mogące słuchacza zbliżyć do tej prawdy, jaką on posiadał. Uśmiechał się konfidencjonalnie i...

– ...i puszczał tekst?

– Nie, skreślał. Pewne prawdy były wówczas tylko dla takich jak on.

– Do niego też pani nie ma żalu?

– W latach osiemdziesiątych regionalną telewizją kierował były funkcjonariusz KW PZPR, przed kilku laty ojciec wyrostka w podstawówce „bezczelnie” powtarzający antyradzieckie opinie wyniesione ze świata dorosłych, „doktor Jekyll i Mister Hyde szczecińskiego dziennikarstwa”, z ufnością kroczący za sztandarem wznoszonym przez Mieczysława Rakowskiego, i to on dopuścił do emisji moją sztukę pt. *Prawo jest prawem*, sztyderstwo na posługiwanie się frazesem prawniczo–politycznym tam, gdzie tego prawa nic nie zapewniało. Była to tak wyraźna aluzja do łamania praworządności, że po obejrzeniu sztuki zastanawiałam się, jak mogła znaleźć się na antenie? Do dziś trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. To właśnie podobne sytuacje utrudniają mi wydawanie sądów o przeszłości i ludziach pełniących różne odpowiedzialne stanowiska w tamtych czasach. I zawsze z pewnym zaskoczeniem i niepokojem przyjmuję pisane dziś biografie o Ryszardzie Kapuścińskim, Zbigniewie Herbercie.

– Trzeci Wydział WUSW nigdy nie zainteresował się panią?

– Raz. I to bardzo nieudolnie. W którymś roku podszecińska szkoła zaprosiła mnie na spotkanie autorskie. Po jego odbyciu wręczono mi w kopercie skromne honorarium, nie oczekując podpisu na żadnym finansowym dokumencie. Rzekomo miały to być pieniądze z komitetu rodzicielskiego. Słabo znałam przepisy skarbowe, do dziś, jeżeli konieczny jest kontakt z urzędem skarbowym, to korzystam z biur z pracownikami do tego przygotowanymi. W tydzień po tamtym spotkaniu zostałam wezwana do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. Nim tam się udałam, wiedzieli o tym wszyscy moi współpracownicy. Prowokacja nie wypaliła, III Wydział dał mi już spokój.

– A gdyby dalej naciskano na panią?

Na twarzy pisarki znów pojawił się smutny uśmiech.

– Dobrze, że twoje pokolenie nie musi przeżywać podobnych sytuacji.

Ewa Wiśniewska, najlepsza z najlepszych polonistek w województwie, długo zwlekała z oddaniem Dorocie konspektu pracy. W końcu podjęła decyzję, kazała jej po lekcji zostać na przerwie w gabinecie. Trzymała w ręce kilka kartek zapisanych w taki sposób, jakby je ważyła. Patrzyła wzrokiem zimnym, z twarzą nieprzeniknioną, taką samą jak wówczas, gdy zagadnięto ją o stosunek do parytetów w sejmie; sprawiała wrażenie, jak gdyby pierwszy raz słyszała o nich i nie miała pojęcia do jakiej dziedziny społecznego życia przypisać. „Masz dobrą nauczycielkę – powiedziała potem najrozsądniejsza z matek – ale patrzenia na współczesność, rozumienia jej nie nauczy was”.

Nauczycielka nie wiedziała, co zrobić z tymi kartkami w ręce i z uczennicą wgapiającą się w nią z nieukrywaną niecierpliwością. Uciekła przed jej spojrzeniem, patrzyła w okno, za którym stało bezlistne jeszcze drzewo kasztana z konarami obsiadłymi przez czarne o zielonkawym połysku wrony, na pień wynurzający się z kałuży, wśród psich odchodów. Minęło chyba pół przerwy, nim najspokojniejsza z polonistek wstała i z kartkami wciąż trzymanymi w ręce wyszła z za stołu z taką powagą, jakby opuszczała ławę poselską. I przemówiła. Odezwała się w podobnym stylu jak posłanki do dziennikarskiego mikrofonu, z oczyma prosto utkwionymi w telewizyjną kamerę.

– Spytam tak: dlaczego piszesz o mało znanej pisarce? Zostaw ją w spokoju. Powiem tak: kiedy wybierałam temat pracy magisterskiej, to mój promotor godził się przyjmować tylko tematy mu bliskie. Świetnie znał twórczość Jana Kochanowskiego, potrafił recytować duże fragmenty z *Trenów*, z *Odprawy posłów greckich*, wiele fraszek i inne utwory poety Renesansu. Wybrałam temat związany z *Odprawą posłów*

greckich. Sprawiliam mu dużą przyjemność. Podczas obrony mojej pracy dał popis swej pamięci. Powiem tak – zaczęła po nabraniu oddechu z większym naciskiem: – Twórczości tej pisarki, z którą przeprowadziłaś wywiad, nie znam i nie mam czasu na to, by sięgać po wymienione przez ciebie tytuły książek. Mam was w klasie ponad trzydziestkę. Wyobrażasz sobie, jaka mnie czeka orka? I do tego miałabym jeszcze sprawdzać, kto i na kogo donosił, a kto jest czysty? Powiem tak – i zabrzmiało to prawie jak ostrzeżenie – życie Jana Kochanowskiego było jak na dłoni, bez kontaktów ze służbami specjalnymi, bez konieczności unikania ich. Kto pisze o wielkim poecie polskiego Renesansu, ten nie musi się zastanawiać nad jego moralnością, odwiedzać IPN, grzebać w teczkach. Powiem tak – i była to zapowiedź nakazu: – daruj sobie tę pisarkę. Znam twe umiejętności literackie. Na pewno przedstawiłabyś rzecz ciekawą. Ale ryzykowną. Pisz o Janie Kochanowskim!

I pani mgr z wyrazem obrzydzenia na twarzy oddała uczennicy konspekt o twórczości współczesnej pisarki, i niosąc z sobą głęboką wiedzę o autorze *Odprawy posłów greckich*, opuściła gabinet z portretami wielkich rodaków czasów Renesansu, Oświecenia i Romantyzmu. Wisiały na ścianie tak ciasno, jeden obok drugiego, że chyba nigdy nie znajdzie się między nimi miejsce dla portretu pisarki poznanej przez Dorotę.

Przechodząc koło kasztana z pniem w brudnej kałuży, cisnęła w nią kartki konspektu prezentacji.

Nie zadzwoniła już więcej do poznanej pisarki.

– Dziecko – pocieszała ją Izabela Nadolska, której imię w *Wielkiej księdze imion* opatrzone epitetami: opanowana, precyzyjna, mądrze doradzająca innym – polonistka wie, co dobre dla ciebie. Ma lata doświadczeń, zapewne chce przekazać swym uczniom wszystko co najlepsze. Przyjaźnię się z nią, ale tego tematu nie podejmę. Po co? Ani tobie bym nie pomogła, ani jej

poglądów nie zmieniała. Tej pisarce odchodzącego pokolenia nie przyjdiesz z ratunkiem dla zapominanej twórczości, jej czas minął, niech się cieszy tym, że następna generacja nie musi przeżywać tego co jej. To jej powinno wystarczyć.

Izabela Nadolska zawsze niechętnie opuszczała swe miejsce za biureczkiem w szkolnej bibliotece. Wydawało się jej, że tylko między regałami z książkami była przydatna uczniom, koleżankom z grona pedagogicznego. Tym ostatnim coraz mniej, w każdym razie w mniejszym stopniu niż młodym czytelnikom lektur obowiązkowych z dołączonymi streszczeniami, komentarzami, interpretacjami, słownikiem wyrazów starej polszczyzny. Dla nauczycieli nie posiadała wielkiego wyboru tytułów, ot, trochę z pedagogiki ogólnej, z psychologii społecznej, z metodyki kilku humanistycznych przedmiotów. Poza Ewą Wiśniewską nie zaglądali do niej, a ona coraz bardziej traciła poczucie więzi z nimi. Stała jakby poza gronem nauczycielskim, na radach pedagogicznych nie było przypadku, by podczas semestralnej klasyfikacji poproszono ją o opinię o jakimś uczniu. Miała obowiązek uczestniczenia w tego typu spotkaniach, więc przychodziła na nie, siadała na końcu długiego stołu pod szafami z dziennikami i ukrywając znudzenie, cierpliwie czekała na zakończenie żarliwie toczonych dyskusji nad uczniami z miernymi wynikami, z kiepską frekwencją, ze złym sprawowaniem; bo oni byli przede wszystkim przedmiotem troski wychowawców, jakby od nich zależała przyszłość narodu, a nie uczniowie zdolni, pracowici.

To biureczko w szkolnej bibliotece Izabeli Nadolskiej było niezbędne, by miała pretekst wyjścia z wolno stojącego domu, przez wielu mieszkańców miasteczka nazywanego willą. Kiedy Dorota stała się podlotkiem, Izabela, żona marynarza, niewiele miała obowiązków. Gdyby nie ta praca w szkole, to najważniejszym jej zadaniem w ciągu dnia byłoby zakreślanie na kalenda-

rzędu daty z Fleet Position List, z harmonogramu zawijania statku armatora do portów. Zapisywała nich nazwy portów, do których wpływała *Cartagena* i odliczała dni do powrotu męża z morza. Patrząłaby też raz po raz na zegar i liczyłaby godziny, minuty do pojawienia się na progu domu Doroty.

Ten tryb życia, jaki prowadziła, odpowiadał jej. Dni, tygodnie, miesiące mijały w równomiernym pulsie, w łatwym do przewidzenia rytmie. Niewiele było wydarzeń przyspieszających tętno. Należały do nich z odległej przeszłości choroby Doroty, wieści o niezwykłych sztormach na oceanach, napaściach piratów somalijskich na statki handlowe, albo podejmowane decyzje w sprawach starzejących się rodziców jej lub męża. Teodor w pełni darzył ją zaufaniem i po powrotach z rejsów nigdy żadnej nie podważał. To utwierdzało Izabelę w przekonaniu, że córce i mężowi jest niezbędna. Gdy się okazało, że ma coraz mniej obowiązków wobec Doroty i rodziców, znalazła dla siebie zatrudnienie w szkole.

Sięgnęła do torby i wyciągnęła urzędowy list, jaki kilka dni temu otrzymała. *Na podstawie art. 61 paragraf 4 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (tj. Dz. U. z 2000 r. nr 98, poz. 1071 ze zm.) zawiadamiam, że w związku ze złożonym wnioskiem o wydanie tymczasowego dowodu osobistego oraz weryfikacją danych w aktach stanu cywilnego wszczęto postępowanie z urzędu w celu sprostowania rozbieżności dotyczących imion i nazwiska panińskiego matki Doroty Nadolskiej. Zgodnie z ustawą z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. Nr 30, poz. 168) organ administracji publicznej, przed którym wszczęto postępowanie, zawiadamia wszystkie strony, których postępowanie dotyczy. W związku z powyższym proszę o zajęcie stanowiska w wyżej wymienionej*

sprawie w terminie 7 dni od daty otrzymania niniejszego pisma.

Gdyby Maria z domu Denis, pierwsza żona Teodora, naturalna matka Doroty, nie wypadła z ostrego zakrętu na 11, drogi z Kępna do Poznania koło Środy Wielkopolskiej, Izabela nigdy nie poznałaby Doroty, a Teodor pozostałby jedynie znajomym z sąsiedztwa. Złożyła dokumenty, oświadczenia, wyjaśnienia dotyczące sytuacji dziecka wszędzie, gdzie powinna, tylko Dorocie oszczędziła tej informacji, odkładając rozmowę na ów temat, wciąż uważając, że to jeszcze czas nieodpowiedni, będzie lepszy do przekazania wiadomości, kto jest naprawdę jej matką. Kiedy? Wołała sobie nie dawać odpowiedzi.

Do biblioteki zajrzała Ewa Wiśniewska – smukła blondynka o oliwkowej karnacji ze skutecznie maskowanymi piegami, które nieraz mimo wszystko pojawiały się jak drobne cekinki, z dużymi piwnymi oczyma jakby w stałym zdumieniu tym, co dostrzega. Uwielbiała wszelkie odcienie niebieskiego, a w tych kolorach spódniczki, garsonki, spodnie, marynarki.

– Zdamy przed nasiadówką wypić kawę? – spytała głosem przypominającym Urszulę Sipińską z archiwalnych wiadomości, zajmując krzesło przy biurku naprzeciwko Izabeli, natomiast retoryka jej wypowiedzi świadomie czy nie nawiązywała do wystąpień parlamentarzystów: – Powiem tak: bez niej polecę z nóg. Potrzebna mi jest mocna używka.

Wpadanie na kawę do biblioteki było w codziennym programie polonistki. Nieraz przynosiła z sobą jakieś wyroby z cukierni mijanej w drodze do szkoły, kremówki „papieskie” na cieście francuskim, szczecińskie pierniki, dla niemieckich turystów *Stettiner Peperkoken*, z wyczuwalną obecnością w dzwoneczkach, kotwiczkach, stateczkach imbiru, cynamonu, kardamonu, goździków, pieprzu i miodu, ale najczęściej kobietom

wystarczała kawa z dwoma łyżeczkami cukru. Ani ciastka, ani cukier nie miały ujemnego wpływu na ich sylwetki, obie były szczupłe, zgrabne, ba, wiotkie. Po latach znajomości tak upodobniły się do siebie, że można by je nazwać siostrami. Wyrażnie różniły się przede wszystkim głosami: Izabela gardłową chrypką nie mogłaby konkurować z przyjaciółką, w każdej chwili gotową zaśpiewać *To był świat w zupełnie starym stylu*.

Izabela schowała list do torby, włączyła elektryczny czajnik firmy Bosch, wyjęła z szafki dwa kubki z logo Polskiego Radia Szczecin, jakie wygrała w konkursie tej stacji. – Wymień przynajmniej trzy latarnie morskie na polskim Wybrzeżu – domagała się redaktorka Halina Lizińczyk. Izabela bez trudu podała nazwy sześciu i w nagrodę otrzymała kubki z białymi żagielkami na niebieskim tle. Ich kolor odpowiadał kobietom i chętnie z nich korzystały.

– Dopiero po przeczytaniu wypracowania twojej córki zrozumiałam, jak głębokim uczuciem darzy swego ojca – mówiła polonistka. – Dałam temat pracy domowej: *Podarunek dla najbliższej osoby*. Pisano o pierścionkach, o sprzęcie audiowizualnym, o ciuchach. Rodzice nie należeli do najczęściej obdarowywanych. Jeżeli już, to matki. Twoja Dorota, wyobraź to sobie, wybrała ojca. Zgadnij, co by od niej otrzymał? Utwórz poetycki! Masz pojęcie? W i e r s z! Wiersz dla mężczyzny!

Polonistka położyła pracę Doroty na biurku.

– Czytałaś?

Izabela rzuciła spojrzenie na kartki.

– Nie. Nic mi o tym wypracowaniu nie mówiła.

– No to zapoznaj się. – I po chwili: – Bardzo tęskni za ojcem.

Izabela wzięła pracę córki do ręki.

Dorota w swej pracy stwierdzała, że czytelnicze ścieżki ucznia wyznaczają szkolne lektury. Niestety dlatego młodemu człowiekowi niewiele zostaje czasu na krążenie w księgarniach między regałami z wydawniczymi nowościami. Z konieczności odzyskuje go z kieratu szkolnych zajęć w okresie poszukiwań prezentów. Tym razem ona, Dorota, książkę wybrała dzięki przeczytanej informacji na plakacie: *Zapraszamy na promocję książki Zbigniewa Kosiorowskiego „Archipelag odpływów”*.

Nie kryła, że tata jest marynarzem i wiele miesięcy w roku spędza wśród obcojęzycznej załogi na statkach kilami tnącymi wody mórz i oceanów. Lubi czytać. Po zawinięciu do domowej przystani mówi dość osobliwie, językiem niezwykłym, współczesną polszczyzną literacką i z przykrością słucha wypowiedzi córki w szkolnym żargonie. Z każdego kotwiczenia w domu wraca do swej kabiny z naręczem książek. Ostatnią wiadomość satelita przekazał z New Providence z Nassau, z archipelagu Bahama na Oceanie Atlantyckim. *Zwiedziliśmy wszystkie forty obronne na wyspie. Są to Fort Montagu, Charlotte i Fincastle. Byliśmy też na Paradise Island, gdzie jest przepiękny hotel Atlantis z bardzo ładnym i dużym akwariem. Przechodząc szklanymi tunelami turyści mogą zobaczyć ruiny zatopionego miasta Atlantis.*

I nieoczekiwanie tata prosi o kupienie mu pism Platona.

Marynarze zawsze zaskakują rodziny niezwykłymi oczekiwaniami.

Może zamiast dzieł Platona wystarczy mu *Archipelag odpływów*? Powinien go zainteresować.

Poszła na spotkanie z autorem.